NUMER 22. DNIA 31-go MAJA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WŁADYSŁAW ORKAN.

POMÓR.

POWIEŚĆ.

(9)

Łukasz zadumie znowu podał głowę i ani drgnieniem nie zdradzał czuwania. Bo w rzeczywistości myśl go, jak we śnie, odeszła i błąkała się, smutna, ponad przepastne urwiska, od których nawet śmierć sama mniej się wydaje trwożąca. Drogi ratunku upatrywał, a napotykał wszędy przepaść — zawracał myślą i znowu szukał nadaremnie, ciężko od umęczenia wzdychając.

Tekli ogromnie dokuczliwie to przygnębienie Łukasza ciężyło. Bo i jej, gdy go widziała takim, strach stawał przed oczyma. „Cóż będzie, kiedy on już taką bezradę widzi?“ I szukała, czem go wyrwać z tej ciężkiej zadumy, ale nie znalazła w głowie. Co powie — to może jeszcze smutku przydać myślom. Żadne słowo w tej chwili nie widzi się dobre.

Stała dość długo nad dziećmi, które już poukładała, poprawiała im pościel pod głowami, potem przeszła ku nalepie i, nie widząc przed sobą żadnego zajęcia, zwiesiła głowę, wsparła ją na dłoni, oddech nawet zciszyła, by jej nic nie słychać było — i żeby mogła mgłą się gdzieś podzieć w tej chwili, toby ochotnem sercem to uczyniła. Widziało jej się i tak czuła, że obecnością swoją w izbie przydaje jeno strapień Łukaszowi. Aby pomódz mu, nie widzi rady... Któż tu pomódz potrafi? Chyba jedyny Bóg...

Podeszła cicho do skrzyni, wyjęła matczyną książkę, poczem klękła przy nalepie i poczęła przy dobłyskujących głowniach czytać pocichu sobie samej; ale jej jakoś nie szło to czytanie. Przestawała co chwila i pozierała na Łukasza, chrząknęła nawet parę razy, by zwrócić jego uwagę, wreszcie nieśmiało się ozwała:

— Przeczytać na głos?... Taka tu jest prześliczna modlitwa... „Do Pana Jezusa w strapieniu...“

Skoro nic nie odrzekł na to, rozpoczęła:

„O Stworzycielu nieba i ziemi, Odkupicielu rodzaju ludzkiego...“

Łukasz zdjął kapelusz, nie ruszając się z miejsca. Tekla zaś dalej czytała:

„...Synu Boga żywego, Panie Jezu Chryste, Przed Tobą, grzeszny, swoją głowę skłaniam, przed Twojem Bóstwem na kolana upadam, ja grzeszny, dla wielkich grzechów moich nie śmiem wołać ku Tobie, Panu mojemu i Odkupicielowi, któremu wszystkie grzechy moje są wiadome; a gdybyś, Panie, raczej patrzał na przewiny moje, aniżeli na najświętsze miłosierdzie Twoje, zginęłaby w głębokości dusza moja dla oblicznośći gniewu Twego, i wszystkaby ziemia zginęła dla grzechów moich. Nie raczże mnie karać potępieniem duszy mojej, którąś odkupił nie złotem,

ani srebrem, ale swoją krwią na krzyżu, Panie. Nie karz mnie za zbrodnie moje sromotą świecką, ale wspomnij na oną sromotę, którąś miał, gdyś na krzyżu obnażony wisiał przed czystą Panną Marją, Matką Twoją miłą; nie karz mnie smutkiem za grzechy, któremi Cię obraziłem, Pana mojego najmiłościwszego, ale wspomnij na owe zasmucenie, jakieś miał, kiedyś na Górze Oliwnej Ojca swego wzywał, wołając: „Jeśliby mogło być, Ojcze najmilszy, żeby ten kielich odszedł odemnie — wszakże nie tak, jak ja chcę, ale jako Ty chcesz — niech się stanie“. Przez Twoje, miły Panie, zasmucenie, któreś natenczas miał, kiedyś wszystką mękę swoją widział; iż Twoje święte człowieczeństwo nie byłoby zostało żywe, by Cię było Bóstwo nie spomogło; tak się to święte człowieczeństwo bało śmierci, iżeś, miły Panie, krwawym potem się spocił; a Tyś niewinny był, Baranku niewinny, któryś żadnego grzechu nie uczynił, a nasze grzechy wszystkie na się przyjął, choć Pan i Stworzyciel.

„Proszę cię, miły Panie, wspomnij wielkie miłosierdzie Twoje, ponieważ ciało i dusza moja bez Ciebie, Pana mego. być nie może. Wszak, Panie, rzekłeś: „Nie chcę śmierci grzesznego człowieka“. Wierzę, Panie, iż mię, jako prawdziwie ukrzyżowany dla zbawienia mojego, nie raczysz odrzucić od miłosierdzia swego; boś słowem swojem wyrzekł: „Człowiecze! kiedykolwiek westchniesz za grzechy swoje, nie chcę onych więcej pamiętać“.

(C. d. n.)

Myśli i zdania Maeterlincka.*)

Dusza nasza nie sądzi tak, jak my, jest to rzecz ukryta a kapryśna. Wzruszyć ją może podmuch, a burza przejdzie ponad nią niepostrzeżenie.

* * *

Jest tragizm powszedni, o wiele realniejszy, o wiele głębszy i o wiele odpowiedniejszy naszej prawdziwej istocie, niż tragizm wielkich wydarzeń.

Niemal wszyscy nasi autorowie tragiczni widzą tylko życie gwałtowne i życie dawnych dni; można śmiało twierdzić, że cały nasz teatr jest anachronizmem i że sztuka dramatyczna spóźniła się o takąż ilość lat, jak i rzeźba. Nie jest to samo z malarstwem i z dobrą muzyką na przykład, które potrafią łączyć i odtwarzać rysy najbardziej ukryte, lecz niemniej ważne i zadziwiające naszego życia dzisiejszego. One spostrzegły, że jeśli życie straciło na swej powierzchni dekoracyjnej, to równocześnie zyskało na głębokości, na znaczeniu szerszem, na ważności duchowej. Dobry malarz nie będzie już dziś malował zwycięzcy Cymbrów, Marjusza albo zamordowania księcia de Guise, bowiem psychologja zwycięstwa lub samobójstwa jest pierwotną i wyjątkową, a bezużyteczny hałas gwałtownego aktu zagłusza głos istot i rzeczy, głębszy, lecz wahający się i wpółukryty. Namaluje on raczej dom gdzieś zaginiony w głuszy wiejskiej, drzwi otwarte w głębi

*) Myśli i zdania niniejsze czerpiemy z dzieła Maeterlincka p. t. „Skarb pokornych“, które świeżo opuściło prasę nakładem Księgarni Polskiej — w przekładzie Wandy Daleckiej. *(Przyp. red.)*

Włodzimierz Wolski.

Postać poety i powieściopisarza głośnego w swoim czasie w Warszawie zarówno z utworów, jak z ekscentrycznych wybryków, byłaby dziś niemal zupełnie zapomnianą, gdyby nazwisko Włodzimierza Wolskiego nie świeciło ciągle na afiszach teatralnych obok nazwiska Moniuszki, jako twórcy libretta „Halki" i „Hrabiny". Ale, jak się to dzieje z każdym librecistą, muzyk przytłacza go i przyćmiewa w zupełności.

A jednak ten librecista zaznaczył się wybitnie w ruchu poetycznym, jaki zapanował w naszej literaturze po czterdziestym roku dziewiętnastego wieku i był nawet jednym z głównych jego przywódców.

Wolski urodził się w Pułtusku r. 1825. Ojciec jego był oficerem b. wojsk polskich, ale bardzo wcześnie osierocił syna, który wprzód jeszcze stracił matkę. Chłopczyk chował się w Warszawie u opiekuna swojego Bernarda, rodem Francuza, który utrzymywał pensjonat męski.

Szczegóły te podaje rówieśnik i przyjaciel poety, Aleksander Niewiarowski, znający je zapewne dokładnie, gdyż sam pochodził z Pułtuskiego, w sylwetce, drukowanej niegdyś w „Słowie" (warszawskiem) — jeśli mnie pamięć nie myli. Nauki Wolski pobierał w szkołach i dzięki swemu opiekunowi nauczył się bardzo dobrze francuskiego i niemieckiego języka. W przyszłości okazało się to rzeczą niezmiernie dla niego pożyteczną, gdyż mógł poznać gruntownie literatury zagraniczne. Nadawało mu to wyższość nad współtowarzyszami, którzy mało wogóle znając obce języki, przy ówczesnym braku tłómaczeń, nie mogli mu dorównać ogólnem literackiem wyrobieniem. Język francuski przydał mu się też bardzo w ostatnich latach życia, które spędził w Belgji, gdyż utrzymywał się głównie, pracując w dziennikarstwie tamtejszem.

Musiał też Wolski posiadać wielką łatwość przyswajania sobie obcych języków, bo mówił biegle po angielsku i po włosku; umiał także we wszystkich zapewne, dzięki muzykalnym zdolnościom, pochwycić akcent właściwy, i to tak doskonale, iż nieraz wśród figlów, którymi za-

---

korytarza, twarz lub ręce odpoczywające; i te skromne obrazy potrafią dorzucić cośkolwiek do naszej samowiedzy życia; a jest to już dobro, którego utracić nie sposób.

* * *

Lepiej jest czuwać na placu publicznym, niż usnąć w świątyni.

* * *

Każdy człowiek może dojść w duchu do celów życia cnotliwego i wiedzieć w każdej chwili, co należy czynić, aby postępować jak bohater, lub jak święty. Ale nie to jeszcze jest ważnem. Trzeba, żeby duchowa atmosfera przetworzyła się dokoła nas w taki sposób, iżby stała się podobną do atmosfery pięknych krain złotego wieku Swedenborga, gdzie powietrze nie pozwalało wychodzić z ust kłamstwu.

* * *

Jedna jest rzecz, której dusza nie przebacza nigdy: to, gdy jest zmuszoną widzieć, dotknąć lub podzielić brzydki czyn, słowo lub myśl brzydką.

* * *

Wierzę, iż nic w życiu nie upiększa duszy bardziej nieuchwytnie, bardziej naturalnie, niż pewność, że kędyś, niedaleko, jest istota piękna i czysta, którą kochać można bez zastrzeżeń. Jeśli można zbliżyć się rzeczywiście do takiej istoty, to piękność przestaje być piękną rzeczą martwą, która pokazuje się obcym, lecz nabiera nagle imponującego życia, a czynność jej staje się tak dzielną, że nic się jej oprzeć nie zdoła.

bawiać się lubiła cyganerja warszawska, brał zawsze na siebie rolę znakomitego cudzoziemca i olśniewał naiwnych doskonałą znajomością obcych języków, oraz wytwornem obejściem, bo — rzecz dziwna — ten niepoprawny cygan, mieszkający na poddaszu, chodzący nieraz w mróz trzaskający bez całego obuwia i futra, przepędzający połowę życia w najmniej estetycznych miejscach, umiał przybrać, gdy chciał tylko, ton wykwintnych salonów i wszędzie znaleźć się właściwie.

Ułatwiało mu to, naturalnie, stosunki w tak zwanym świecie i sprawiało, że był niekiedy ulubieńcem osób, zajmujących w niem wybitne miejsce.

Najczęściej jednak jaki niespodziewany wybryk poety zrywał nawiązane stosunki. Odzywała się w nim natura cygańska i człowiek wykwintny, przestrzegający pilnie form towarzyskich, pozbywał się ich przy pierwszej lepszej sposobności, śmiał się w oczy tym, którzy dali się niemi złudzić i, jak się dosadnie wyrażał, posyłał do djabła to wszystko, co go krępowało, lub nudziło.

Wolski odziedziczył po rodzicach kapitał, który dziś zapewne nie miałby wielkiego znaczenia, ale na owe czasy mógł stanowić bezpieczną podstawę bytu. Cóż, kiedy doszedłszy do pełnoletności, nie miał nic pilniejszego, jak go zmarnować. Najął wspaniały apartament, przyjął służbę, żył na wielką stopę, ugaszczał znajomych i grał rolę wielkiego pana, dopóki tylko fortuny starczyło. Świetności te trwały podobno niecały rok, potem musiał się przenieść z pięknego apartamentu do izdebki hotelu Nadwiślańskiego, gdzie mieszkał przez czas długi, nigdy nie opłacając komornego, dzięki miłosierdziu właściciela i protekcji jego córek, które litowały się nad młodym i nieszczęśliwym poetą. On przynosił im swoje wiersze, wpisywał się w albumy, grał, śpiewał i umiał widocznie skutecznie przemawiać do ich serc, skoro rezultat był dla niego pomyślny.

Wszystkie te fakty opowiadali mi naoczni świadkowie. Sama zresztą widziałam go nieraz zziębniętym i głodnym, jak zachodził na herbatę do dobrych znajomych i z wilczym apetytem zmiatał, co było pod ręką. Wolski, wpadłszy w ostatnią nędzę, nie lubił wspominać o minionych świetnościach.

Na chleb mógł był zarobić, ale za chleb żądano pracy, spełnienia jakichkolwiek, chociażby najlżejszych obowiązków, a cygańska natura Wolskiego nagiąć się do nich nie mogła. Praca każda wydawała mu się zawsze nieodpowiednią, niegodną jego młodej sławy i wygórowanych marzeń, a może wprost tylko nieznośną. Często też odrzucał najlepszą sposobność zyskania stanowiska, o które inni starali się dla niego, bo sam w tym względzie nigdy nie zrobił żadnego kroku.

Przytoczyć mogę na dowód fakt następujący:

Losem Wolskiego zajmowała się czynnie kobieta, której imię zaznaczyło się w całem naszem literackiem i społecznem życiu — pani Nina Łuszczewska, promotorka wydania dzieł Kopernika, słynna z rozumu i wdzięku, z jakim umiała podnieść życie towarzyskie w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Nie było więc dla niej rzeczą trudną, przy stosunkach, jakie miała, znaleźć dla poety odpowiednie stanowisko, tem bardziej, że on sam, skoro chciał, przedstawiał się bardzo korzystnie.

Właśnie zawakowała wówczas posada bibliotekarza przy jednym z największych księgozbiorów prywatnych, którego właścicielkę, hrabinę ***, pani Łuszczewska znała zbliska, więc postanowiła pozyskać ją dla swego protegowanego.

Wolski pisał wówczas pierwszą swą powieść, tytułował ją „Przejście“ i podobno wydał później pod innym tytułem. Był bardzo nią zajęty, lubił zwierzać się osobom przyjaznym z jej pomysłu, celu, scen napisanych już i tych, które pisać zamierzał. Czyniąc to, puszczał wodze improwizacyjnej żyłce, podnosił jej ton coraz wyżej, stosownie do nastroju chwili. Słowem, powieść ta była przez czas jakiś konikiem, na którym jeździł bez ustanku, a ulegając bujnej fantazji, twierdził nawet niekiedy, że powieść była skończoną i czekała tylko odpowiedniego wydawcy.

(C. d. n.) *Walerja Marrenné-Morzkowska.*

CHŁOPI.

(Ostatni rozdział książki p. Władysława Łozińskiego pt. „Prawem i lewem“).

Kwestji chłopskiej dotyka autor streszczonej przez nas książk przygodnie, tylko w ścisłem ograniczeniu czasu (panowanie Zygmunta III) i miejsca (Ruś Czerwona), a nadto ze zastrzeżeniami, że i gdzieindziej nie działo się lepiej. W ślad za Bobrzyńskim, oznacza autor r. 1573, jako ten, w którym dokonał się proces ujarzmienia ludu wiejskiego, będącego do schyłku XV-go wieku warstwą społeczną prawie wolną i prawie obywatelską. Że tradycja dawnych stosunków była jeszcze żywą wśród ludu, świadczy dobrze o tem walka, jaką prowadzi z uciskiem tam, gdzie jeszcze pozostawiono mu jakąkolwiek możliwość takiej walki, tj. w królewszczyznach.

Ale po za królewskiemi włościami, możliwości obrony, oporu, protestu nie było. Chłop stał niejako poza prawem. Zdany był na łaskę i niełaskę pana. Jedynym kodeksem, który zakreślał pewne granice jego niewoli, było serce i sumienie dziedzica. jedyną ochroną, zapewniającą mu miarę ludzkiego bytu, był rozumny egoizm, który nakazywał konserwację roboczego inwentarza. Chłop szlachecki, to rzecz prywatna, do której nikt nie ma prawa — bezbronny, niemy, w ziemię wdeptany Atlas, na którego barkach usiadło całem swem brzemieniem panujące społeczeństwo.

Jeszcze tylko w dobrach królewskich chłopi mają opiekę nad sobą, niewątpliwie zawsze szczerą w intencji, ale najczęściej platoniczną. A i tu nie występuje król mocą swojej władzy publicznej, lecz schodzi na poziom zwykłego szlachcica, który poleca swemu dzierżawcy, aby lepiej traktował poddanych — choć zwykle bez skutku.

Zaczynało się zawsze od tego, że włościanie pewnego starostwa lub ekonomji, uciskani przez starostę, wysyłali deputację do króla, która wracała z glejtem bezpieczeństwa dla siebie i z mandatem do oskarżonego, upominającym go do zaniechania nadużyć. Okupiony — Bóg wie, jak ciężką — ofiarą grosza i trudu mandat królewski nieśli deputaci do swojej gminy, jak wyrok wyzwolenia, a przekonywali się niestety w domu, że był to papier bez znaczenia. Pewni, że, otrzymawszy glejt królewski, stoją pod strażą majestatu, doznają najczęściej zaraz po powrocie mściwego odwetu za to, że śmieli żałobę wnosić przeciw tyranowi. Akta województwa ruskiego zawierają bardzo liczne i bardzo jaskrawe przykłady otwartego lekceważenia, szyderstwa, pogardy nawet, z jaką spotykały się mandaty i glejty królewskie. W starostwie leżajskiem podstarościowie i dzierżawcy Mikołaja Olpińskiego znęcają się nad chłopami, którzy wracają z glejtem od króla, biją ich, kańczugami sieczą, w tarasach zamkowych więżą, a mandaty, posoliwszy, zjadać im każą. Adam Stadnicki, kasztelan przemyskl, starosta stryjski, trzydziestu chłopów z Synowódzka, którzy w r. 1605 do króla chodzili, zakuwa w kajdany i wrzuca do więzienia. Bartłomiej Stojowski, dzierżawca wsi królewskiej Sanoczka, doręczony sobie przez woźnego mandat królewski w obronie chłopów, znieważa nikczemnie gestem, który po polsku opisać autor się wzdraga itd. itd.

Nie masz w całem województwie ruskiem ekonomji królewskiej i starostwa, z któregoby chłopi nie udawali się do króla ze skargami na ucisk bezprawny. Z przemyskiego, lwowskiego, halickiego, sanockiego starostwa, z dolińskiej, stryjskiej, samborskiej, kamioneckiej, jaworowskiej ekonomji płyną żale i lamenty pod stopy tronu. Podziwienia godną jest wytrwałość, z jaką niektóre gminy walczą przeciw uciskowi starostów i dzierżawców; przez kilkadziesiąt lat bez przerwy czynią one wysiłki, aby utrzymać się przy starodawnym wymiarze robót i danin, które chciwość starostów znacznie pomnaża, niekiedy podwaja. — Najciężej, zda się, uciskany był lud w starostwach dolińskiem i leżajskiem. Gminy Nadziejów i Sakow w Dolińskiem, przez pół wieku walczą z Jerzym Krasickim, w Leżajskiem znowu gminy Dębno, Gielarowa, Starzyna i Kuryłówka z Łukaszem Opalińskim. Dzieje tych procesów opowiada autor szczegółowo.

Nie lepiej się dzieje w starostwie jaworow-

skiem tenuty Jakóba Sobieskiego, w starostwie gródeckiem Myszkowskiego i starostwie samborskiem Mniszchów.

Gdyby się tenutarjusze starostw i włości królewskich trzymali byli tych „starodawnych“ inwentarzy, do których tęsknią, o które tak mężnie walczą kmiecie królewscy, dola ludu wiejskiego w królewszczyznach byłaby nawet w porównaniu z współczesnymi stosunkami zagranicy do pewnego stopnia pomyślną. I wogóle lud wiejski w królewszczyznach, jeżeli tylko nie dostał się pod człowieka chciwego i niesumiennego, dochodził do pewnego, niekiedy nawet wcale znacznego dobrobytu.

Na rozgraniczach znowu ziemi halickiej, gdzie już sama odległość i nieprzystępność zapewniała chłopom pewną niezawisłość, a pobliże ziemi wołoskiej, ziejącej niejako bandami opryszków, odstraszało dzierżawców i ekonomów starościńskich, istniały gminy, żyjące, jak chwast, na stepie, bujnie i dziko. Dzierżawca był już kontent, jeżeli od tych poddanych, z których każdy był na poły opryszkiem, dostał od czasu do czasu jakąś owcę, lub kilka suszonych pstrągów. Tam też zdarzać się mogły takie postacie, jak Hnat Wysoczan, chłop możny i butny, który żyje jak szlachcic, śmieje się z władzy starościńskiej i, jak mały królik; trzyma on całą okolicę w zawisłości i strachu, nie wyjmując nawet drobnej zagonowej szlachty, którą pogardza.

(D. n.)

Pochód do Chin.

(Wspomnienie osobiste.)

(Dokończenie.)

Niepodobna wyliczyć wszystkich przejawów samowoli. Gdzie się popełnia tysiące zbrodni, tam przestają one wprost uderzać ludzi. Zaś statystyki żadnej nie prowadzono. Ale co należy zaznaczyć, to np. fakt, który z wielu ust słyszałem (często z oburzeniem niekłamanem), gwałcenie dziewczynek, mających mniej niż 12 lat. Było to zwykłem zjawiskiem wszędzie, gdzie przeszli rosyjscy żołnierze. Po zgwałceniu często nadziewano je na bagnety. Gdy to nie następowało, zabijali je ich własni rodzice, gdyż Chińczyk tego rodzaju hańby znieść nie może.

Urzędnik wschodniej kolei chińskiej R. opowiadał, iż podczas „buntu“ kozacy zaczęli mordować wszystkie kobiety w tej okolicy. Wtenczas kobiety tłumnie zaczęły zbiegać się do Rosjan-urzędników, błagając o przytułek, któryby je ocalił od pewnej śmierci. Pan R. powiada, że nigdy tych niezwykłych chwil nie zapomni. Kobiety wszeikich stanów i najrozmaitszego wyglądu okupywały życie ceną swego ciała i oddawały się tak łatwo, „że wcale nie potrzeba było używać gwałtu“. Naturalnie, że dom jego był przytułkiem tylko dla tych wybranych, które nie opierały się jego żądaniom.

Obok mordów i niszczenia, odbywało się najwstrętniejsze w świecie, cyniczne i nieograniczone grabienie. Żony oficerów, których posłano do Pe Czi Li i Mandżurji, otrzymywały każdą pocztą skrzynie dobytku, zagrabionego u Chińczyków. Prawie w każdej rodzinie oficerskiej zjawiły się masywne srebra, pyszne jedwabie, futra, kolekcje starej broni i herbata wyborowa. Dzieci „rycerzy chrześcijańskich, broniących się w Chinach *)“, brały pod nadzorem „dzieńszczyków“ (ordynansów) lekcje konnej jazdy na rumakach i osłach, pochodzących z miast chińskich. Mieszkańcy Władywostoku wiedzą dobrze, że jenerałowie Liniewicz i Czyczagow zebrali bardzo ciekawe kolekcje rzeczy, branych pod pretekstem fantastycznych buntów. Jenerał-gubernator Gro-

*) Słowa modlitwy, którą z rozkazu synodu czytano we wszystkich cerkwiach w r. 1900

dekow, który z początku starał się naśladować Walderseego i zabrał się do zdobywania miasta Girin, dawno „uśmierzonego“ i wzdychającego do spokoju, wkrótce porzucił to niewdzięczne zajęcie i zaczął gromadzić skarby „dla muzeów“. Rzeczywiście, niektóre muzea dostały nędzne okruchy tego, co wzbogaciło prywatne zbiory jenerała. Jest to jeden z pocieszających objawów tryumfu nauki nad barbarzyństwem.

Jenerał Liniewicz sam zdołał zgromadzić 16 wozów dobytku chińskiego, oczywiście „kupionego“. Inny oficer pisze do swej żony: „posyłam ci szyte srebrem futro z czarnego lisa: kupiłem je za 45 kopiejek“ (1 korona). Żołnierze składali pieniądze zdobyte w filjach Banku rosyjsko-chińskiego. Niektórzy urzędnicy straży pogranicznej „zaoszczędzili“ w ten sposób kapitały, dochodzące do kilkudziesięciu tysięcy rubli. Jeden z moich znajomych przywiózł z sobą 1.600 funtów doskonałej herbaty.

Następujący epizod wydarzył się komendantowi jednego z pułków, którego nazwę Petrowem. Marzył on zawsze o posiadaniu chińskiego „inochodca“ (specjalny gatunek koni dość rzadkich). Pewnego dnia widzi on Chińczyka, jadącego na inochodcu czystej krwi. Wydobyć rewolwer i wypalić — było kwestją paru sekund. Ale równocześnie rozległ się drugi strzał, ze strony kolegi, który widocznie również szybko, jak pan P., zauważył, że jadący ulicą Chińczyk musi być chunchuzem. Chińczyk spada, ale ma w ciele tylko jedną ranę. Następuje walka szlachetności dla oficerów, z których chce każdy oddać łup koledze. Nareszcie pan P. przyjmuje konia, ale ofiarowuje w zamian dwa byki i tuzin koni gorszego gatunku. Tymczasem na drugi dzień okazuje się, że Chińczyk rzeczywiście nie był bez winy, gdyż koń był kradziony i trzeba go było oddać właścicielowi! Można sobie wystawić, ile to panu P. krwi napsuło. Tenże P. ma wyrzuty sumienia za to, że kazał wymordować wioskę chińską, w pobliżu której usłyszano wystrzał. Ale to jest jedyna rzecz, ktorą on sobie wyrzuca.

Gdy zdobyto Pekin, wszystkie narodowości rzuciły się na mieszkańców tego nieszczęsnego miasta. Największą zdobycz znaleziono w pałacu cesarskim. Felczer F., który mi to opowiadał, mówi, iż w jednej z sal znalazł na kominku przepyszny zegar, ozdobiony brylantami i topazami; to mu nie wystarczyło, więc zaczął wyrywać brylanty, które zdobiły meble, zbyt ciężkie, by je można było unieść; zegar zaś zawinął w chustkę i położył na ziemi. Tymczasem jakiś przebiegający żołnierz skradł mu ten węzełek, a wkrótce sala napełniła się oficerami, przed którymi trzeba było ustąpić. Biedny felczer został z gołemi rękami.

Lekarz A. opowiadał, że podczas grabienia pałacu połamano na kawałki instrumenty w gabinetach fizycznym i chemicznym. Nawet olbrzymi starożytny globus, który tam stał, ma dziurę; wybito ją kolbą, szukając we wnętrzu skarbów. Biblioteka Bogdychana, gromadzona w ciągu kilkudziesięciu wieków, została przez żołnierzy zniszczona doszczętnie; ani jedna książka, ani jeden rękopis nie ocalał.

Strzelanie do ludzi na ulicach trwało przez cały czas okupacji. Gdy zaś potrzeba było robotników do czegokolwiek, to postępowano w następujący sposób: posyłano oddział żołnierzy, który okrążał na ulicy pierwszą napotkaną większą ilość osób i pędził je do roboty. Nie zwracano przy tem najmniejszej uwagi na stan, wiek i płeć publiczności: obok prostego kulisa musiał kopać ziemię lub przenosić ciężkie skrzynie mandaryn, a gdy mu ochoty lub sił zabrakło, to mu ich wnet dodało uderzenie kolbą. W ten sposób wdrażano Chińczykom demokratyzm, który, jak wiadomo, zupełnie obcy jest temu, pogrążonemu w kastowości, narodowi.

Oficer, który mi to opowiadał, dodał z dumą, że gdy raz pewien Chińczyk, wzięty w ten sposób do niewoli, chciał drapnąć w bok, to żołnierz go tylko uderzył w kark, a Francuz w podobnym wypadku wypalił z karabinu.

Znam tylko jeden wypadek ukarania żołnierza za złe obchodzenie się z Chińczykami. Wszedł on do „fanzy“ (domu) i zażądał pieniędzy, a gdy gospodarz, według jego zdania, dał mu zbyt mało, zarąbał go szablą na miejscu. Winnego skazano na śmierć, ale ułaskawiano.

W spokojnym kąciku Chin rządził z małym oddziałem strzelców porucznik M. Piersi jego ozdabiała oznaka św. Włodzimierza, otrzymana za czyny bohaterskie — zawsze to samo „poskromienie chunchuzów“. Zdołał on ze swymi mołojcami położyć trupem 72 ludzi.

Ja — mówił M. — nigdy nie zostawiałem na polu rannych; jeżeli się zdarzali, kazałem ich zawsze bez pardonu dobijać. Raz sześciu padło

na kolana i powyciągało głowy, sądząc, że będziemy je rąbać, ale z mego rozkazu żołnierze działali kolbami: stuknie po głowie jak w dojrzałą dynię i zawoła: »propadajta!“ (to znaczy: „zdechł“ — według wymowy Chińczyków). Sam zabiłem już dziewięciu ludzi.

Inny porucznik, R., zaraz po zawarciu ze mną znajomości, pochwalił się, że poprzedniego dnia oddział jego wytępił 50 do 60 chanchuzów. Na moje pytanie, ile ich wogóle zabito, odpowiedział, że tego dokładnie wyliczyć nie może. Były „dobre“ dni, podczas których padało 250 ludzi, ale wyżej nie podniesiono się nigdy, a czasami „pracowano“ tylko od sztuki. We wczorajszej walce wzięło udział 20 żołnierzy. Żaden nie odniósł rany. Raz natknęli się oni na zbrojny oddział, który dał salwę i położył około 10 żołnierzy. Za karę spalono wszystkie wsie okoliczne, przy czem ich właścicieli zamykano poprzednio w domach. Jeden z nich zdołał się wyrwać z rąk żołnierzy i uciekał. Trzech żołnierzy popędziło za nim. Po drodze Chińczyk napotkał studnię i wskoczył do wody; żołnierze podawali mu drąg, by mógł wyjść, ale „zatwardziały“ Chińczyk wolał utonąć.

R. wziął do niewoli raz kupca Chińczyka, który od dawna jest już prawosławny i ma synów w gimnazjum rosyjskiem. Chciał mu uciąć głowę, ale pułkownik na to nie pozwolił. „Cóż dziwnego — zakończył R. —, jeżeli się później szerzy niezadowolenie.“

Jednem słowem: wojska nasze dokładnie wypełniły zadanie, poruczone Europie przez Wilhelma II. Za każdego zabitego żołnierza rosyjskiego, Chiny zapłaciły całem miastem, a pamięć o wojskach rosyjskich nie zginie prawdopodobnie w monarchji środkowej i za tysiąc lat. A wszystkie te okropności nie znikną bez śladu: zostawią one niezatarte ślady w duszy zarówno wykonawców, jak i ofiar zbrodni, którą nazywają „pochodem chińskim“.

Wróg wewnętrzny.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

NOTATKI. *Pamiątka obchodu żółkiewskiego.* Nakładem i znacznym kosztem komitetu urządzającego obchód trzechsetnej rocznicy założenia miasta, wyszła „Pamiątka 300-letniej rocznicy założenia miasta Żółkwi“, album, zawierające obok krótkiego tekstu objaśniającego ilustracje całego szeregu widoków, pamiątek i budynków żółkiewskich. Znajdujemy tu więc wyobrażenia zamku, bram miejskich, kościołów i cerkwi, synagogi, charakterystycznych podsieni w rynku, obrazów i nagrobków fary żółkiewskiej, a wreszcie pomników Jana III. i Stanisława Żółkiewskiego, odsłoniętych ubiegłej niedzieli. O ile sam dobór ilustracji, dokonany przez znanego lwowskiego fotografa artystę p. Koehlera, jest bez żadnego zarzutu, o tyle właśnie zewnętrzna szata całego wydawnictwa wypadła nie zbyt dobrze. Przedewszystkiem zaraz w samym tytule uderza ciągle się powtarzający, a tak trudny do wykorzenienia błąd językowy. Nie mówi się, a przynajmniej nie powinno się mówić: „300-letnia rocznica“, lecz trzechsetna rocznica. Fatalnie wykonane zostały klisze, w znacznej części zamazane, niedokładnie odbite, a skutkiem tego nie przedstawiające żadnej wartości artystycznej, nie mówiąc już nic o tem, że jako pamiątka sprawiają one wprost przeciwne zamierzonemu wrażenie. Wina leży niepodzielnie po stronie drukarni (niedawno we Lwowie założonej), która najnowszych wymogów drukarstwa do wydawnictwa pamiątkowego zastosować nie umiała, czy nie chciała. — Mimo to wszystko sam fakt zebrania w jednem wydawnictwie wszystkich pamiątek historycznych żółkiewskich, zasługuje na zaznaczenie, a że był na czasie, dowodzi tego znaczny pokup albumu, tak w czasie samej uroczystości żółkiewskiej, jak i obecnie we Lwowie. — Dochód z wydawnictwa przeznaczony jest na restaurację fary żółkiewskiej.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.